

Problem teściowej

Tym razem zaprezentowała nam telewizja sztukę zmarłego w roku 1939 amerykańskiego pisarza SYDNEYA HOWARDA pt. „ZŁOTY SZNUR”. Czy warto było wkładać tyle wysiłku w jej opracowanie?

Problem sztuki jest bardzo istotny, potraktowany jednak dość powierzchownie. Oto bogata mamusia niszczy życie swoich synów, ponieważ nie chce wypuścić ich spod swej macierzyńskiej ręki. Zmusza młodszego i słabszego do rozstania się z narzeczoną, będzie trula życie starszemu, który ośmielił się ożenić z ukochaną dziewczyną nie pytając jej o zgodę. Jest w życiu wiele podobnych sytuacji, wiele również ostrych lub jeszcze ostrzejszych konfliktów rodzinnych. Tylko że sprawy te są znacznie bardziej skomplikowane i znacznie bardziej dramatyczne. Nie rozwiązują się tak szybko i prosto, jak w sztuce Howarda, która mogłaby być tragedią, a mieści się na pograniczu komedii.

Howard ogranicza się do warstwy obyczajowo-psychologicznej, nie sięgając ani do korzeni społecznych takich sytuacji, ani nie próbując ujawnić psychologii głębi bohaterów dramatu, co czynił już znacznie wcześniej i lepiej O'Neill, ukazując tragizm pojęcia współczesnej mu amerykańskiej rodziny. Kiedy oglądamy „Złoty sznur” narzucają się też pewne skojarzenia z „Moralnością pani Duńskiej”. Ale o ile ostrzej, drapieżniej widziała życie i jego problemy Zapolska niż jej amerykański epigon.

Reżyseria WANDY LASKOWSKIEJ była również niezdecydowana, jak sama sztuka. Potraktowała temat po części ironicznie (co najlepiej zrealizowała ANTONINA GORDON - GORECKA, aktorka znakomita, którą zawsze ogląda się z przyjemnością na małym ekranie), po części zaś dopuszczając do głosu akcenty tragiczne. Te brzmiały najmniej przekonująco, a IRENA SZCZUROWSKA nie potrafiła uprawdopodobnić tragedii małej Hester. Obsada przedstawienia była zresztą bardzo dobra. Dobrą parę stanowili: PIOTR FRONCZEWSKI (starszy syn pani Phelps) i MARTA LIPiŃSKA (jego żona). Oni może najlepiej trafili w ton sztuki. Hysterycznym i słabym Robertem, młodszym synem pani Phelps, był ANDRZEJ NARDELLI, borykając się z powodzeniem z trudnościami tej niewdzięcznej i niesympatycznej roli.

Ekspozycja spektaklu była zbyt długa, tempo początkowo zbyt słabe. Później napięcie się wzmogło, a final wypadł lepiej. Do reżyserii telewizyjnej JOANNY WISNIEWSKIEJ miałbym jedno zastrzeżenie: za dużo było planów ogólnych, szczególnie w pierwszej części przedstawienia, za mało zbliżeń. Mały ekran telewizora tego nie znosi, gdyż zaletą tego typu teatru jest właśnie możliwość ukazania postaci sztuki i ich reakcji z niewielkiej odległości. Kiedy zaś oglądamy całą scenę, jak w teatrze żywego planu, nie widzimy dobrze nikogo.

ROMAN SZYDŁOWSKI